

Dekompozycja państwa narodowego

Autor: **Murray N. Rothbard**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Przemysław Hankus**

*Tekst pierwotnie ukazał się w „Journal of Libertarian Studies”,
jesień 1994, 11:1, s. 1-10*

Libertarianie zwykle skupiają się na dwóch istotnych jednostkach analizy: na jednostce (osobie) i na państwie. Mimo tego jednym z najbardziej gwałtownych i znaczących wydarzeń naszych czasów było ponowne wyłonienie się — z przytupem — w ciągu minionych pięciu lat trzeciego i wysoce zaniedbywanego aspektu rzeczywistości: „narodu”. Gdy rozpatruje się pojęcie „narodu” zazwyczaj jest ono przypisywane państwu, jak ma to miejsce w powszechnym wyrażeniu „państwo narodowe”, jednak przez ostatnie wieki pojęcie to uległo szczególnemu rozwinięciu, dzięki czemu stało się uniwersalną zasadą. W ciągu ostatnich pięciu lat obserwowaliśmy jednakże — jako następstwo upadku komunizmu w Związku Sowieckim oraz we Wschodniej Europie — wyrazistą i zaskakująco szybką dekompozycję scentralizowanego państwa lub rzekomego państwa narodowego na składające się na nie narodowości. Prawdziwy naród (lub narodowość) dokonał gwałtownego powrotu na światową scenę.

I. PONOWNE WYŁONIENIE SIĘ NARODU

„Naród” — rzecz jasna — nie jest tym samym, co państwo. Różnicę tę doskonale rozumieli wcześniejsi libertarianie i klasyczni liberałowie, tacy jak [Ludwig von Mises](#) czy [Albert Jay Nock](#). Współcześni libertarianie często błędnie zakładają, że jednostki są ze sobą powiązane jedynie splotem wymian rynkowych. Zapominają, że każdy z konieczności rodzi się w określonej rodzinie, kulturze i obszarze językowym. Każda osoba rodzi się w jednej lub kilku nakładających się, przenikających się społecznościach, zwykle wliczając w to grupę etniczną z

określonymi wartościami, kulturami, wierzeniami religijnymi i tradycjami. Generalnie rodzi się w „kraju”. Zawsze rodzi się w specyficznym kontekście historycznym miejsca i czasu, tzn. sąsiedztwa oraz ziemi.

Nowoczesne europejskie państwo narodowe w żadnym razie nie zaczynało jako naród, ale jako „imperialny” podbój przez jedną narodowość — zwykle z „centrum” kraju, skupioną w mieście stołecznym — innych narodowości na peryferiach. Ponieważ „naród” jest kompleksem subiektywnych uczuć co do narodowości, opartych na obiektywnych realiach, imperialne państwa centrum (*imperial central states*) odznaczały się zmiennym stopniem udanego wykuwania pośród narodowości na peryferiach poczucia narodowej jedności, zawierającej w sobie posłuszeństwo względem imperialnego centrum. W Wielkiej Brytanii Anglicy nigdy tak naprawdę nie wykorzenili narodowych aspiracji pośród podbitych narodowości celtyckich: Szkotów i Walijszczyków, aczkolwiek nacjonalizm kornwalijski zdaje się już w znacznej mierze być stłumiony. W Hiszpanii, dokonujący podbojów Kastyljczycy z siedzibą w Madrycie nigdy nie zdołali wymazać nacjonalizmu u Katalończyków, Basków a nawet Galisyjczyków czy Andaluzyczyków. Francuzi — mając za punkt wyjścia Paryż — nigdy ostatecznie nie poskromili Bretończyków, Basków czy ludności Langwedocji.

Obecnie dobrze znanym jest to, że upadek centralizującego i imperialnego rosyjskiego Związku Sowieckiego doprowadził do zdjęcia pokrywki znad tuzinów uprzednio tłumionych nacjonalizmów w ramach byłego ZSRS. Staje się teraz jasne, że Rosja sama w sobie, czy też raczej „Rosyjska Republika Federalna”, to po prostu nieco starsza imperialna formacja, do której Rosjanie, opuszczając swoje centrum — Moskwę, siłą inkorporowali wiele narodowości, w tym: Tatarów, Jakutów, Czeczenów i wiele innych. Wiele z tego, czym był ZSRS, wynikało z rosyjskich imperialnych podbojów XIX w., podczas których ścierający się ze sobą Rosjanie i Brytyjczycy zdołali rozparcelować większą część Azji centralnej.

Nie można precyzyjnie zdefiniować „narodu”; jest on pewną kompleksową i zmienną konstelacją różnych form społeczności, języków, grup etnicznych czy religii. Pewne narody lub narodowości, jak np. Słoweńcy, są zarówno oddzielną grupą etniczną, jak i językową; inne, jak np. zwalczające się grupy w Bośni, są tą samą grupą etniczną, której język jest ten sam, ale różni się rodzajem alfabetu, zażarcie walczą na gruncie religii (prawosławni Serbowie, katoliccy Chorwaci i bośniaccy muzułmanie którzy — by jeszcze bardziej skomplikować sprawę — byli pierwotnie zwolennikami herezji manichejskiego bogomilizmu).

Kwestia narodowości staje się bardziej złożona poprzez wzajemne oddziaływanie obiektywnie istniejącej rzeczywistości i subiektywnych odczuć. W pewnych sytuacjach, jak w przypadku wschodnioeuropejskich narodowości pod panowaniem Habsburgów czy Irlandczyków pod panowaniem Brytyjczyków nacjonalizmy, w tym zdominowane i czasem wymierające języki, musiały być świadomie podtrzymywane, zachowywane, generowane (tworzone) i rozszerzane. W XIX w. dokonywały tego zdeterminowane elity intelektualne, walczące o ożywienie peryferii żyjących pod — i częściowo pochłoniętych przez — imperialnym panowaniem centrum.

II. SOFIZMAT „BEZPIECZEŃSTWA ZBIOROWEGO”

Problematyka narodu doznała w XX w. szkód, jakie wyrządził jej dominujący wpływ wilsonizmu (pojęcie to wywodzi się od polityki prezydenta [Woodrowa Wilsona](#) — przyp. red.) na USA i ogólnoświatową politykę zagraniczną. Nie odnoszę się tutaj do idei „narodowego samostanowienia”, obserwowanej głównie podczas załamania po I wojnie światowej, ale do idei „zbiorowego zabezpieczenia przed agresją”. Śmiertelny błąd tej uwodzicielskiej idei jest taki, że traktuje ona państwa narodowe przez analogię jako jednostkowych agresorów, a „społeczność międzynarodową” w postaci policjanta-tuż-za-rogiem. Policjant, przykładowo, widzi jak A dokonuje agresji na B lub okrada B z jego własności; naturalnym jest, że policjant zrywa się, by chronić prywatnej własności B — do jego osoby i dobytku. W ten sam sposób wojny pomiędzy dwoma narodami lub państwami mają w założeniu podobny aspekt: państwo A najeżdża państwo B; państwo A jest bezzwłocznie określane mianem „agresora” przez „międzynarodowego policjanta” lub jego przypuszczalną namiastkę — niech nim będzie Liga Narodów, Organizacja Narodów Zjednoczonych, Prezydent USA lub Sekretarz Stanu lub publicysta sierpniowego „New York Timesa”. Wtedy siła światowego policjanta, jakakolwiek by ona nie była, powinna zostać czym pręcej zaangażowana w działanie, mając na celu powstrzymanie „zasady agresji” lub zapobieżenie by „agresor” — niech nim będzie Saddam Husajn lub serbscy partyzanci w Bośni — mógł w pełni zrealizować zakładane przezeń cele, polegające na przepłynięciu Atlantyku i zamordowaniu każdego mieszkańca Nowego Jorku czy Waszyngtonu.

Zasadniczy błąd tej powszechnej linii argumentacji sięga głębiej, niż zwykła dyskusja nad tym, czy amerykańskie siły powietrzne lub piechota naprawdę są w stanie bez większych trudności wyeliminować Irakijczyków bądź

Serbów. Zasadniczy błąd to czynione *implicite* założenie całej analizy: że każde państwo narodowe „posiada” cały podległy sobie geograficzny obszar w ten sam sprawiedliwy i właściwy sposób, w jaki każdy pojedynczy właściciel posiada własność do swojej osoby i do majątku, który odziedziczył, na który zapracował lub uzyskał w wyniku dobrowolnej wymiany. Czy granica typowego państwa narodowego jest rzeczywiście równie sprawiedliwa lub poza wszelkim zastrzeżeniem jak granica mojego domu, posiadłości czy fabryki?

Wydaje mi się, że nie tylko klasyczny liberał czy libertarianin, ale każdy zdrowo myślący o tym problemie człowiek musi odpowiedzieć głośnym, rozbrzmiewającym: „nie!”. Absurdalnie jest przypisywać każdemu państwu narodowemu jego ogłoszone przez nie same granice jako istniejące w dowolnym momencie jako w jakiś sposób słuszne i nietykalne (święte) oraz uznawać „integralność terytorialną” państwa narodowego jako mającą pozostać nieskalaną i nienaruszoną tak, jak twoją lub moją cielesność i własność prywatną. Zawsze — co oczywiste — granice te były ustanawiane siłą i przemocą lub poprzez międzypaństwowe porozumienie ponad głowami mieszkańców danego miejsca i zawsze granice te wiele razy zmieniały się w czasie w sposób, który czyni proklamacje o „integralności terytorialnej” doprawdy zabawnymi.

Weźmy dla przykładu [obecny bałagan w Bośni](#). Ledwie kilka lat temu establishment, lewica, prawica lub centrum donośnie głosiły znaczenie utrzymywania „integralności terytorialnej” [Jugosławii](#) i gorzko potępiały wszelkie ruchy secesjonistyczne. Dziś, niewiele czasu później, ten sam establishment, niedawno jeszcze broniący Serbów jako obrońców „narodu jugosłowiańskiego” przed groźnymi i brutalnymi ruchami secesjonistycznymi, starającymi się zniszczyć ową „integralność”, obrzuca Serbów obelgami i pragnie ich zmiażdżyć za „agresję” przeciwko „integralności terytorialnej” „Bośni” lub „Bośni i Hercegowiny” — sfabrykowanego „narodu”, który przed 1991 r. tak samo nie istniał, jak nie istniał „naród Nebraski”. Lecz są to pułapki, w które jesteśmy skazani wpadać, jeśli pozostaniemy uwięzieni przez mitologię „państwa narodowego”, którego przypadkowe granice w czasie *t* muszą zostać podtrzymane w mocy jako jednostki-posiadacza majątku (*property-owning entity*) z jego uświęconymi i nienaruszalnymi „prawami”, w głęboko wadliwej analogii do praw własności prywatnej.

Wykorzystując wyśmienity zabieg Ludwiga von Misesa, abstrahujący od współczesnych nam emocji: weźmy dwa sąsiednie państwa narodowe:

„Rurytanię” i „Fredonię”. Załóżmy, że Rurytania nagle najechała wschodnią Fredonię i uważa ją za swoją (własność). Czy musimy automatycznie potępić Rurytanię za jej złowrogi „akt agresji” przeciw Fredonii i wysłać wojska — dosłownie lub w przenośni — przeciw brutalnym Rurytańczykom w imieniu „dzielnej, małej” Fredonii? W żadnym razie. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że — powiedzmy dwa lata temu — wschodnia Fredonia była częścią Rurytanii, była w zasadzie zachodnią Rurytanią i że Rurytańczycy — etniczni i narodowi mieszkańcy tej ziemi przez minione dwa lata protestowali przeciw fredońskiej opresji. W skrócie, w szczególności w odniesieniu do sporów międzynarodowych, nieśmiertelnymi słowy W. S. Gilberta:

*Rzeczy rzadko są takimi, jakimi się wydają,
Chude mleko tylko udaje śmietanę.*

Ukochany międzynarodowy policjant, czy będzie nim [Boutros Boutros-Ghali](#), amerykańskie wojska czy jeden z publicystów „New York Timesa” powinni zastanowić się dwa razy, nim włączą się w bijatykę.

Amerykanie są w szczególności niedopasowani do ich samozwańczej wilsonowskiej roli światowego moralisty i policjanta. Nacjonalizm w USA jest szczególnie nowy i jest bardziej rodzajem idei niż bytem zakorzenionym w etnicznych lub narodowych grupach czy zmaganiach. Dodajmy do tej śmiertelnej mieszanki fakt, iż Amerykanie nie mają w zasadzie pamięci historycznej i otrzymamy to, co czyni Amerykanów szczególnie nienadającymi się do pędzenia do interwencji na Bałkanach, gdzie to, kto w danym miejscu opowiedział się po czyjej stronie podczas wojny z tureckimi najeźdźcami w XV w., jest znacznie bardziej żywotne i prawdziwe dla większości uczestników niż wczorajszy obiad.

Libertarianie i klasyczni liberałowie, szczególnie dobrze wyposażeni do tego, by ponownie zastanowić się nad będącym w nieładzie obszarem dotyczącym państwa narodowego i spraw zagranicznych, byli zbyt zaabsorbowani zimną wojną z komunizmem i Związkiem Sowieckim, aby zaangażować się w podstawowe przemyślenia na temat tych kwestii. Teraz, gdy Związek Sowiecki upadł i zimna wojna się zakończyła, być może klasyczni liberałowie poczują chęć, by od nowa zastanowić się nad tymi niezwykle istotnymi problemami.

III. PONOWNE PRZEMYŚLENIE SECESJI

Po pierwsze, możemy wywnioskować, iż nie wszystkie granice państwowe są sprawiedliwe. Jednym z celów libertarian powinno być przekształcenie istniejących państw narodowych w narodowe podmioty (*national entities*), których granice *mogłyby być* uznane sprawiedliwymi w tym samym znaczeniu, w jakim sprawiedliwe są granice własności prywatnej; a zatem, by dokonać rozkładu istniejących dzięki przymusowi państw narodowych na prawdziwe narody lub narody z przyzwolenia.

W przypadku — przykładowo — wschodnich Fredończyków, mieszkańcy powinni mieć możliwość dobrowolnej secesji od Fredonii i dołączenia do swych ziomków w Rurytanii. Ponownie, klasyczni liberałowie powinni oprzeć się pokusie stwierdzenia, iż granice narodowe „nie mają znaczenia”. To oczywiście prawda, że — jak głosili przez długi okres czasu klasyczni liberałowie — im mniejszy stopień rządowej interwencji tak we Fredonii, jak i w Rurytanii, tym mniejsze znaczenie tego typu granic. Jednak nawet w warunkach państwa minimalnego (*minimal state*) granice narodowe w dalszym ciągu będą miały znaczenie, nierzadko ogromne dla mieszkańców danego terenu. *W jakim języku* — rurytańskim czy fredońskim, a może w obu — będą tablice na ulicach, książki telefoniczne, postępowania sądowe lub zajęcia szkolne tego obszaru?

Krótko mówiąc: każda grupa, każda narodowość powinna mieć możliwość secesji z dowolnego państwa narodowego i przyłączenia się do jakiegokolwiek innego państwa narodowego, które wyrazi na to zgodę. Ta prosta reforma bardzo pomogłaby w ustanowieniu narodów z przyzwolenia. Szkoci, gdyby chcieli, powinni zostać upoważnieni przez Anglików do opuszczenia Zjednoczonego Królestwa i do stania się niepodległym krajem, a nawet do przyłączenia się do Konfederacji Gaelickiej, jeśli tylko mieszkańcy tego zapragną.

Powszechna odpowiedź na świat rozmnażających się narodów to obawa przed wielością barier handlowych, które mogłyby powstać. Jednak — przy innych warunkach niezmienionych — im większa liczba nowych narodów i im mniejszy rozmiar każdego z nich, tym lepiej. Byłoby bowiem znacznie trudniej zasiać iluzję samowystarczalności, gdyby sloganem było „kupuj z Północnej Dakoty” lub nawet „kupuj z 56. ulicy”, niż jest obecnie, gdy przekonuje się ludność do „kupowania amerykańskich produktów”. Podobnie „precz z Południową Dakotą” lub *a fortiori* „precz z 55. ulicą” byłoby znacznie trudniej sprzedać ludziom, niż szerzenie strachu lub nienawiści względem Japończyków.

Podobnie, absurdy i niefortunne konsekwencje pustego pieniądza papierowego (*fiat paper money*) byłyby znacznie bardziej ewidentne i oczywiste, gdyby każda prowincja, każda dzielnica lub każdy budynek wzdłuż ulicy mogły drukować własną walutę. Bardziej zdecentralizowany świat w znacznie większym stopniu byłby skłonny zwrócić się w stronę takich rynkowych towarów, jak złoto lub srebro, jako swoich pieniędzy.

IV. CZYSTY MODEL ANARCHOKAPITALISTYCZNY

W tym artykule podnoszę czysto anarchokapitalistyczny model nie tyle, by opowiadać się za nim *per se*, ile by zaproponować go jako rodzaj przewodnika dla uspokojenia toczonych obecnie, irytujących dysput na temat narodowości. Czysty model, to po prostu model, w którym żaden obszar ziemi, żaden metr kwadratowy na świecie nie powinien pozostać publiczny; gdzie każdy metr kwadratowy ziemi — czy będą to ulice, place, skwery czy dzielnice — jest sprywatyzowany. Całkowita prywatyzacja pomogłaby rozwiązać problemy narodowościowe, często w sposób zaskakujący. Sugeruję, by istniejące państwa lub klasyczne liberalne państwa starały się zbliżyć do takiego systemu nawet wtedy, gdy pewne obszary pozostają w sferze rządowej.

Otwarte granice lub problem *Obozu świętych*

Sprawa otwartych granic czy wolnej imigracji stała się dla klasycznych liberałów narastającym problemem. Stało się tak po pierwsze dlatego, że państwo opiekuńcze stale zwiększa finansowe wsparcie dla imigrantów po to, by zechcieli do niego przyjechać, otrzymując stałe wsparcie, oraz po drugie dlatego, że granice kulturowe były stopniowo podtapiane. Zacząłem ponownie zastanawiać się nad moimi opiniami o imigracji wtedy, gdy upadł Związek Sowiecki i stało się jasne, że etniczni Rosjanie byli zachęceni do tego, by zalać Estonię i Litwę po to, by zniszczyć kultury i języki tych ludów. Łatwo było uprzednio uznać antyimigracyjną powieść Jeana Raspaila pt. *Obóz świętych* za nierealistyczną, w której to niemalże cała populacja Indii decyduje się przenieść — małymi łódkami — do Francji, a Francuzi — zarażeni liberalną ideologią — nie mogą wykrzesać w sobie chęci zapobieżenia gospodarczemu i kulturowemu zniszczeniu narodu. Jako że problemy kulturowe i problemy państwa opiekuńczego uległy intensyfikacji, stało się niemożliwym dalsze odrzucanie obaw Raspaila.

Jednakże, ponownie rozpatrując imigrację na bazie modelu anarchokapitalistycznego stało się dla mnie jasne, że całkowicie sprywatyzowany kraj wcale nie miałby „otwartych granic”. Jeśli każdy kawałek ziemi w kraju byłby własnością jakiejś osoby, grupy lub firmy, oznaczałoby to, że żaden imigrant nie mógłby się tam dostać, nie uzyskawszy uprzednio zaproszenia i pozwolenia najmu lub zakupu własności (nieruchomości, mienia). Całkowicie sprywatyzowany kraj byłby tak „zamknięty”, jak tylko poszczególni mieszkańcy i posiadacze własności by zapragnęli. Wydaje się zatem jasne, że reżim otwartych granic, który istnieje *de facto* w USA to nic innego, jak przymusowe otwarcie granic przez scentralizowane państwo, wszystkie ulice i (publiczne) obszary ziemi zarządzane przez państwo, co autentycznie nie odzwierciedla życzeń właścicieli.

W warunkach całkowitej prywatyzacji wiele lokalnych konfliktów i problemów — nie tylko problem imigracji — byłoby porządnie rozstrzyganych. Gdzie każdy lokal i dzielnica byłby własnością prywatnych firm, korporacji lub społeczności kontraktowych (wynikających z umowy), tam królowałaby prawdziwa różnorodność, w zgodzie z preferencjami każdej ze społeczności. Pewne dzielnice byłyby etnicznie lub gospodarczo zróżnicowane, podczas gdy inne byłyby etnicznie lub gospodarczo homogeniczne. Pewne lokalne społeczności pozwalałyby na pornografię lub prostytutkę, narkotyki lub aborcję, a inne zakazałyby jednej lub wszystkich wymienionych. Zakazy nie byłyby narzucane przez państwo, ale byłyby zwykłymi wymaganiami pobytowymi lub względem użytkowania ziemi należącej do członka danej społeczności. Podczas gdy etatyści, których aż swędzi, by narzucać swoje wartości wszystkim innym, byliby zawiedzeni, każda grupa lub grupa interesu miałaby przynajmniej satysfakcję z życia w dzielnicach z ludźmi, którzy dzielą ich wartości i preferencje. Chociaż własność dzielnicy nie doprowadziłaby do Utopii i nie byłaby także panaceum na wszystkie konflikty, to dostarczyłaby przynajmniej „drugiego z najlepszych” rozwiązania, które większość ludzi zapewne chciałaby akceptować.

Enklawy i eksklawy

Jeden z oczywistych problemów, związanych z secesją narodowości od scentralizowanych państw, wiąże się z obszarami mieszanymi lub enklawami i eksklawami. Dekompozycja przerośniętego centralistycznego państwa narodowego Jugosławii na tworzące je części rozwiązała wiele konfliktów, zapewniając status niepodległego narodu (*independent nationhood*) Słoweńcom,

Serbom i Chorwatom. Ale co z Bośnią, gdzie wiele miast i wiosek ma charakter mieszany? Jednym z rozwiązań jest zachęcanie do mniej lub bardziej tego samego (co powyżej) poprzez dalszą decentralizację. Jeśli — przykładowo — wschodnie Sarajewo jest serbskie a zachodnie Sarajewo jest muzułmańskie, to stają się one odpowiednimi częściami swoich, oddzielnych narodów.

To jednak doprowadzi do powstania znacznej liczby enklaw — części narodów otoczonych przez inne narody. Jak można rozwiązać ten problem? Przede wszystkim, problem enklaw i eksklaw istnieje i dziś. Jeden z najbardziej brutalnych konfliktów, w który USA jeszcze się nie wtrąciły, ponieważ nie został on do tej pory pokazany w CNN, to problem związany z [Górkim Karabachem](#) — armeńską ormiańską eksklawą (obecnie Górski Karabach według prawa międzynarodowego stanowi część Azerbejdżanu, jednak *de facto* jest on *quasi*-państwem niezależnym od Baku — przyp. red.) w całości otoczoną przez Azerbejdżan (tym samym formalnie znajdującą się w jego wnętrzu). Górski Karabach w sposób oczywisty powinien być częścią Armenii. Jednak, jak wówczas Ormianie z Karabachu unikną ich obecnego losu — blokady ich przez Azerów i jak unikną starć zbrojnych, starając się utrzymać otwarty korytarz lądowy do Armenii?

W warunkach całkowitej prywatyzacji — rzecz jasna — te problemy by zaniknęły. Obecnie nikt w USA nie kupuje ziemi bez upewnienia się, że jego tytuł do własności ziemi jest czysty; w ten sam sposób, w całkowicie sprywatyzowanym świecie prawa dostępu byłyby w sposób oczywisty kluczowymi elementami własności ziemi. W takim świecie zatem właściciele ziemi w Karabachu upewniliby się, że nabyli prawa dostępu do akorytarza terytorialnego.

Decentralizacja dostarcza także możliwe do przyjęcia rozwiązanie dla — wydawać by się mogło — nierozwiązywalnego, permanentnego konfliktu w Irlandii Północnej. Gdy Brytyjczycy podzielili Irlandię w początkach lat 20. XX w., zgodzili się także na dokonanie drugiego podziału w skali mikro. Nigdy nie dotrzymani tej obietnicy. Gdyby jednakże Brytyjczycy pozwolili na szczegółowe, parafia po parafii głosowanie nad podziałem w Irlandii Północnej, większość ziem, w przeważającej części zamieszкана przez katolików prawdopodobnie oddzieliłaby się [od Wielkiej Brytanii] i przyłączyła do Republiki [Irlandii], np. hrabstwa Tyrone i Fermanagh, południowe Down i południowe Armagh. Protestanci prawdopodobnie zostaliby w Belfaście, hrabstwie Antrim i innych obszarach na północ od Belfastu. Głównym problemem, jaki by pozostał, byłaby

katolicka enklawa w Belfaście, ale — ponownie — zbliżenie się do modelu anarchokapitalistycznego mogłoby zostać osiągnięte poprzez pozwolenie na nabycie praw dostępu do enklawy.

Do czasu całkowitej prywatyzacji jest jasne, że nasz model mógłby zostać przybliżony, a konflikty zminimalizowane poprzez zezwolenie na secesję i lokalną kontrolę, aż do poziomu mikro-dzielnicy, a także poprzez rozwój kontraktowych praw dostępu do enklaw i eksklaw. W USA staje się naprawdę ważne, zmierzając w stronę tak radykalnej decentralizacji — dla libertarian, dla klasycznych liberałów, jak również dla wielu innych mniejszości lub grup dysydenckich — by rozpocząć od położenia największego nacisku na zapomnianą Dziesiątą Poprawkę oraz by starać się zdekomponować rolę i siłę centralizującego Sądu Najwyższego. Zamiast starać się, by ludzie wywierali ideologiczny wpływ na Sąd Najwyższy, jego siła powinna zostać osłabiona i zminimalizowana tak dalece, jak to tylko możliwe, a jego siła rozłożona na państwowe — a wręcz nawet na lokalne organy sądownicze.

Obywatelstwo i prawa wyborcze

Jeden z obecnie irytujących problemów skupia się na tym, kto staje się obywatelem danego kraju, jako że obywatelstwo nadaje prawa wyborcze. Model anglosaski (angloamerykański), w którym każde dziecko urodzone na terenie kraju automatycznie staje się jego obywatelem, w sposób oczywisty zaprasza imigrację zasiłkową (*welfare immigration*) w postaci oczekujących na potomstwo rodziców. Przykładowo: w USA obecnie problemem są nielegalni imigranci, których dzieci — jeśli urodziły się na amerykańskiej ziemi — automatycznie stają się obywatelami i tym samym uprawniają siebie samych oraz swoich rodziców do stałych świadczeń socjalnych i darmowej opieki medycznej. Bez wątplenia system francuski, w którym trzeba urodzić się w rodzinie obywateli, by automatycznie stać się obywatelem jest znacznie bliższy idei narodu z przyzwolenia.

Ważne jest także ponowne zastanowienie się nad całą ideą i funkcją głosowania. Czy każdy powinien mieć „prawo” do głosowania? Rose Wilder Lane, amerykańska libertariańska teoretyk z połowy XX w. została pewnego razu zapytana, czy wierzy w prawa wyborcze dla kobiet. „Nie” — odpowiedziała. „Jestem również przeciwko prawom wyborczym dla mężczyzn”. Litwini i Estończycy w sposób przekonujący poradzi sobie z problemem rosyjskich

imigrantów, pozwalając im pozostać stałymi rezydentami, ale nie przyznając im obywatelstwa i tym samym prawa do głosowania. Szwajcarzy z chęcią witają tymczasowych gastarbeiterów, ale dotkliwie zniechęcają do stałej imigracji oraz, *a fortiori*, obywatelstwa i głosowania.

Zwróćmy się po raz kolejny w stronę modelu anarchokapitalistycznego. Jak wyglądałoby głosowanie w całkowicie sprywatyzowanym społeczeństwie? Nie tylko głosowanie byłoby zróżnicowane, lecz co ważniejsze — kogo by to obchodziło? Prawdopodobnie najbardziej satysfakcjonującą formą głosowania dla ekonomisty jest korporacja lub spółka akcyjna, gdzie głosowanie jest proporcjonalne do udziału własnościowego w majątku firmy. Funkcjonowałyby także całe miriady prywatnych klubów wszelkiego rodzaju. Zwykle zakłada się, że klubowe decyzje podejmowane są na zasadzie jeden członek — jeden głos, jednak jest to ogólnie mówiąc nieprawda. Niewątpliwie najlepiej zarządzane i najprzyjemniejsze kluby prowadzone są przez niewielką, samopodtrzymującą się oligarchię najbardziej kompetentnych i najbardziej zainteresowanych, przez system najprzyjemniejszy zarówno dla niegłosujących członków, jak i dla elity. Jeśli jestem szeregowym członkiem powiedzmy klubu szachowego, dlaczego miałbym się przejmować głosowaniem, jeśli jestem zadowolony ze sposobu, w jaki prowadzony jest klub? A jeśli jestem zainteresowany tym, jak sprawy są prowadzone, prawdopodobnie zostanę poproszony o dołączenie do zarządzającej elity przez wdzięczną oligarchię, zawsze wypatrującą energicznych członków. Ostatecznie, jeśli nie jestem zadowolony z tego, jak prowadzony jest klub, mogę z łatwością i ochoczo zrezygnować z członkostwa i dołączyć do innego klubu, a nawet samemu jakiś stworzyć. Jest to, rzecz jasna, jedna z największych zalet wolnego i sprywatyzowanego społeczeństwa — czy rozpatrujemy klub szachowy, czy kontraktową wspólnotę sąsiedzką.

Bez wątpienia, gdy rozpoczniemy pracę nakierowaną na czysty model, im więcej obszarów życia stanie się bądź sprywatyzowanych lub zdecentralizowanych, tym mniejszą wagę będzie miało głosowanie. Oczywiście, jesteśmy jeszcze daleko od osiągnięcia tego celu. Jednak ważne jest, aby zacząć i w szczególności zmienić naszą kulturę polityczną, która traktuje „demokrację” lub „prawo” do głosowania jako najwyższe dobro polityczne. W rzeczywistości, proces głosowania powinien być rozpatrywany jako trywialny i co najwyżej nieistotny i nigdy jako „prawo” w oderwaniu od możliwego mechanizmu, wyrastającego z konsensualnego kontraktu. W nowoczesnym świecie demokracja

lub głosowanie są ważne bądź w przypadku dołączenia, bądź zatwierdzenia użycia rządu do kontrolowania innych lub by użyć ich jako środek przeciwdziałania bycia kontrolowanym. Jednakże głosowanie jest co najwyżej nieskutecznym instrumentem samoobrony i znacznie lepszym byłoby zastąpienie go przez złamanie ogólnie rzecz biorąc centralnej siły rządu.

Podsumowując, jeśli będziemy kontynuować dekompozycję i decentralizację nowoczesnego, centralizującego i używającego przemocy państwa narodowego, dekonstruując to państwo na tworzące je narodowości i dzielnice, powinniśmy tym samym zredukować zakres rządowej władzy, zasięg i wagę głosowania oraz zasięg społecznego konfliktu. Zwiększy się zakres prywatnych umów i dobrowolnej współpracy, a brutalne i represyjne państwo stopniowo rozpuści się do postaci harmonijnego i coraz lepiej prosperującego ładu społecznego.